



# RUBIEŻ

**Krzysztof Adamski**

*Rubież*

# RUBIEŻ

Krzysztof Adamski, Swarzędz 2012

Prolog

*Stacja kosmiczna "Brzask"*

*System Kartaginy, Rubież, AD2912*

Dominik Borgia stał przed zajmującym całą ścianę jego gabinetu, panoramicznym bulajem i obserwował nadzorowany przez siebie kosmiczny plac budowy. W świetle obu gwiazd Kartaginy, oddalone o osiemdziesiąt kilometrów od stacji, miejsce konstrukcji Wrót mieniło się tysiącami odbłasków, nadając mu fantastyczny wygląd. Wokół szkieletu, na którym wkrótce oprzeć się miały dwa gigantyczne pierścienie, w nieprzerwanym tańcu wirowało kilkadziesiąt małych, często jednoosobowych jednostek inżynieryjnych, transportujących lub montujących elementy wielkiej konstrukcji. Dominik mógł obserwować to widowisko całymi godzinami. Fascynował go pozorny chaos panujący wśród pracujących jednostek, tym bardziej, że był świadomy, iż tak naprawdę każda załoga postępuje według ściśle określonego planu. Zabawnym wydawał mu się również fakt, że zdecydowana większość pracujących przy budowie ludzi, w tym również on sam, nie zna i nigdy nie pozna zasad funkcjonowania budowanej konstrukcji.

Wrota podprzestrzenne - najważniejsza technologia ery podboju kosmosu, a jednocześnie najpilniej strzeżony sekret jego korporacji, skracały tysiąckrotnie czas podróży międzygwiazdnych. Dwa olbrzymie, mierzące po piętnaście kilometrów średnicy, przeciwbieżne pierścienie pozwalały wytworzyć tymczasowy tunel podprzestrzenny, łączący dwoje dowolnych Wrót w galaktyce. Technologia ta była dla ludzkości bezcenna, ale jednocześnie wyjątkowo kosztowna,

gdyż ilość energii potrzebna do otwarcia tunelu rosła proporcjonalnie do jego wielkości i długości. Przelot małego statku do sąsiedniego systemu był stosunkowo niedrogi, podczas gdy wysłanie krążownika na drugi koniec sektora wymagało niewiarygodnych nakładów energii. Dlatego też Kartagina była idealnym miejscem dla umiejscowienia Wrót. Energia słoneczna z dwóch znajdujących się w systemie gwiazd była dla ich systemów pewnym i stałym źródłem zasilania. To właśnie światło, odbijające się od fragmentów transportowanych, a następnie montowanych na ramie konstrukcji paneli słonecznych co chwilę roziskrzało pustkę kosmosu. Dominkowi wydawało się jednak, że dzisiaj rozbłyски są jakby trochę rzadsze, mniej intensywne niż zwykle.

Z zamyślenia wyrwała go świadomość, że w pomieszczeniu stoi ktoś jeszcze. Po sekundzie, w zniekształconym przez taflę bulaju odbiciu rozpoznał jednego ze swoich zastępców. Inżynier Rupert Davies, od dłuższego czasu cierpliwie czekał przy wejściu do jego gabinetu.

- Wejdz. – Dominik z ciężkim sercem odwrócił się od kontemplowanego do niedawna widoku, zapraszając podwładnego do środka – Co się stało? Wyraz twojej twarzy każe mi wątpić w to, że przynosisz dobre wieści... Powonnie, dla ścisłości...

Młodszy od Dominika o kilka lat, Rupert dobrze wiedział, że jego przełożony nie lubił, kiedy mu przerywano te rzadkie chwile odpoczynku od bezpośredniego nadzoru nad budową. Niestety to właśnie jemu w udziale zwykle przypadało informowanie starszego inżyniera o opóźnieniach w realizacji harmonogramu.

- Panie Borgia, JMC znowu domaga się odesłania dwudziestu procent stanu brygady do pomocy w kolonizacji Kuźni. Grożą wznowieniem strajku... W tej chwili pracuje jedynie trzy czwarte brygady, tłumacząc to problemami technicznymi ze sprzętem – możemy spodziewać się, że w ciągu najbliższych godzin prace ustaną zupełnie.

Usłyszawszy potwierdzenie swoich przypuszczeń, starszy inżynier bez słowa spoczął za swoim pulpitem, wskazując jednocześnie młodszemu koledze by usiadł na przeciwko. Ten postanowił jednak zachować postawę zasadniczą, wywołując tym samym u przełożonego lekki, ironiczny uśmieszek.

- Rozumiem, że z tego też nie skorzystasz? – Zapytał wyciągając z szafki butelkę i dwie szklanki. Nie czekając na odpowiedź nalał tylko sobie.

Davies odmówił ruchem głowy, pozostając cały czas na baczność ciągnął dalej.

- Mamy dwie godziny na ustosunkowanie się do ich postulatów, inaczej...

- Do jasnej cholery! – Przerwał mu w pół zdania Dominik. - Przestań mi się tu wreszcie prężyć jak jakiś pieprzony kadet! Nie wiem czy zauważyłeś, ale nie jesteśmy w wojsku! JMC grozi strajkiem? I co w tym nowego? Grożą nam od kiedy „Tytan” rozbił się na Kuźni! Przeszło rok temu rada uchwaliła, że brygada pozostanie do naszej dyspozycji aż do momentu ukończenia wrót, a jedynym warunkiem do odesłania jakiegokolwiek jej części na Kuźnię było wyprzedzenie harmonogramu! Oni co chwilę wyskakują z tym samym bo wiedzą, że każdy tydzień opóźnienia kosztuje nas miliony!

Dzięki wspólnemu wysiłkowi ich macierzystej Vespa Technologies, oraz prowadzącej większość robót inżynierskich Janus Mining Corporation, Wrota miały być gotowe w przeciągu dwóch lat. Niestety, jak to zwykle bywa, od samego początku nic nie przebiegało zgodnie z planem. W wyniku konfrontacji należącego do JMC „Tytana” z nieznanym dotychczas obcym gatunkiem, korporacja utraciła trzy czwarte swoich zasobów oraz niemal całe zaplecze technologiczne. Z pomocą Vespy kryzys udało się zażegnać, natomiast w nowej sytuacji JMC bardzo nalegało na oddelegowanie części brygady do pomocy w odbudowie swojego potencjału przemysłowego. Vespa, niemająca praktycznie żadnego sprzętu konstrukcyjnego i tylko nielicznych inżynierów, nie mogła sobie na to pozwolić.

- Masz nieograniczony budżet i zasoby żeby ich zadowolić, daj im wszystko czego będą chcieli, obiecaj im co tylko się da za wcześniejsze ukończenie Wrót. Jak przyjdzie co do czego, to wszystkie roszczenia zostaną ucięte przez Radę, ponieważ to oni nie chcieli wywiązać się z umowy pierwsi.

Davies stał ze spuszczoną głową oczekując na koniec tyrady szefa, wiedząc, że gniew Dominika mijał równie szybko jak wybuchał.

- Siadaj już wreszcie, nie lubię gdy ktoś nade mną stoi. Na pewno nie chcesz? - Zapytał pociągając ze szklanki. – Chyba nie wyznajesz filozofii Oświeconych i nie wyrzekłeś się potrzeb cielesnych? Przecież jesteś inżynierem, a nie jakimś jajogłowym fanatykiem!

Młodszy mężczyzna posłusznie usiadł, ale nie zdecydował się na proponowany mu poczęstunek. W trakcie gdy

zbierał myśli, Dominik z uniesionymi brwiami przyglądał się mu wyczekująco.

- Dobrze – podjął po chwili Rupert – W zamian za powrót do pracy i jej przebieg bez dalszych opóźnień, proponujemy im zwolnienie z opłat za użytkowanie Wrót na kolejne pięć lat. Jeżeli to im nie wystarczy, wydłużymy bezterminowo ich kontrakt na usługi dwóch nanopatów...

- Wreszcie coś konkretnego. Poczekaj, porozmawiamy jeszcze chwilę. – Dominik powstrzymał Ruperta, który najwyraźniej chciał już oddalić się w celu realizacji swoich zamierzeń. – Jak myślisz, przy obecnym tempie prac, ile nam zajmie ukończenie budowy?

- Minimum dwa lata, prawdopodobnie dwa i pół roku – Davies odparł bez wahania .

- Czyli maksymalnie cztery lata, zamiast planowanych dwóch... W sumie nawet nieźle, zważywszy na wszystkie nieprzewidziane komplikacje. Powiedz mi, co według ciebie będzie potem?

- Potem, panie Borgia?

- Jak już ukończymy Wrota. Co dalej?

- Oczywiście nawiążemy kontakt z Rdzeniem. Następnie, przez Wrota zaczną napływać kolejne jednostki z zadaniem dalszej kolonizacji Rubieży. Otworzy to ludzkości drogę do dalszej ekspansji w kosmosie. –Podejrzewając, że pytanie było formą testu, młodszy mężczyzna postanowił udzielić możliwie najbardziej prawomyślnej odpowiedzi.

- No tak, oczywiście... – Ironiczny uśmieszek znowu powrócił na twarz Dominika. – Kwiaty, honory, odznaczenia i dożywotna chwała... Naprawdę w to wierzysz? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. – Wierzysz w to, że

mieszkańcy Rdzenia, po półtora wieku rozwoju potraktują nas jako równorzędnych partnerów? Spójrz na Oświeconych! W przeciwieństwie do pozostałych sześciu milionów mieszkańców Rubieży, oni spędzili ostatnie sto pięćdziesiąt cztery lata żyjąc, pracując, rozmnażając się – jednym słowem ewoluując. Cholera, oni nawet wyglądają inaczej niż my, pomijając już poważne różnice kulturowe i światopoglądowe... - Inżynier zrobił krótką przerwę by pociągnąć kolejny łyk ze szklanki. - Co każe ci sądzić, że nasi krewniacy z Rdzenia nie potraktują nas jak brudu spod paznokcia? Fakt, wykonaliśmy swoje zadanie, ale co teraz z nami zrobić?

- Panie Borgia – Rupert uznał, że tym razem Dominik oczekuje od niego odpowiedzi - Oczywiście rozumiem pana rozterki, ale przecież takie było założenie całej wyprawy. Był pan przecież świadomy, że członkowie załóg wysłanych poza Martwą Strefę, w tym również pan, sami skazują się na zacofanie. Wszyscy zgłosiliśmy się na ochotników, wierząc, że dokonujemy czegoś wzniosłego. Faktycznie, nikt nie przypuszczał, że przebycie Strefy zajmie nam tyle czasu, ale według mnie było warto.

- Ha! Widzę, że wbrew pozorom, potrafisz myśleć samodzielnie – Kolejna porcja alkoholu wyraźnie rozluźniła Dominika. – Masz rację, kiedy się zaciągnąłem, naiwnie liczyłem, że spędzimy w hibernacji dziesięć, maksymalnie trzydzieści lat. Pamiętaj również, że według oryginalnego planu, skumulowana na pokładzie „Tytana” potęga przemysłowa JMC miała pozwolić nam wypracować w Rubieży odpowiednie zaplecze i pozycję zanim nawiążemy kontakt z Rdzeniem. A teraz, gdy JMC zebrze o zwrot tych kilku jed-



nostek pracujących przy Wrotach, tak naprawdę nie mamy Rdzeniowi niczego do zaoferowania.

- Mam przecież nanopatię – Błyskawicznie zaproponował Rupert. – Szansa, że w międzyczasie opracowano taką samą technologię jest raczej minimalna. Miała w końcu ułatwiać eksplorację kosmosu, podczas gdy w Rdzeniu przestano o tym marzyć już prawie dwieście lat temu. Poza tym, może rzeczywiście „zwykli” ludzie mogą wydać się przybyłym z Rdzenia odrobinę zacofani, ale już Oświeceni powinni stanowić dla nich równorzędnych partnerów. Oni znajdą jakiś sposób na zapewnienie nam godnej pozycji w nowym układzie sił.

- Odpowiedź zdecydowanie prawidłowa, ale w obu punktach błędna. – Wyraz politowania powrócił na twarz Dominika – Zastanów się, jest inna dziedzina, do jakiej nanopatia nadaje się zdecydowanie bardziej niż eksploracja... Owszem poznawanie nowych ekosystemów zmysłami miejscowych gatunków faktycznie pozwala zaoszczędzić czas i środki potrzebne dla konwencjonalnego zwiadu, ale tak naprawdę, od początku chodziło o coś innego. Coś, co tłumaczyłoby olbrzymie zainteresowanie tą technologią ze strony Triady...

- Szpiegostwo? – Ostrożnie zaproponował Rupert.

- Dokładnie. – Smutno uśmiechnął się Dominik - Punkt dla Ciebie. Wyobraź sobie, obserwacja ruchów wojsk oczami ptaka, albo podsłuchiwanie konkurencji z pozycji muchy na suficie? Zastosowań jest mnóstwo, pozwolę sobie nawet pójść o krok dalej. – Dominki coraz bardziej się nakręcał. – Podejrzewam, że od początku wcale nie chodziło o kontrolowanie zwierząt. Znając moralność Oświeconych, ce-

lem mieli być inni ludzie – ciągnął, nie zważając na wyraźny lęk malujący się na twarzy młodszego mężczyzny. – Szczęśliwie dla Homo sapiens, gatunek ten, jako jedyny dotąd poznany, odrzuca nanity, tym samym uniemożliwiając inwigilację ludzi. Taka przynajmniej jest wersja oficjalna. Być może w naszej rozmowie „uczestniczy” ktoś jeszcze, mający za zadanie wyłapywać ze społeczeństwa elementy „potencjalnie szkodliwe”? Powiedz mi Rupert, myślisz, że jestem „elementem potencjalnie szkodliwym”?

- Oczywiście, że nie, panie Borgia, ale mam dużo zadań do wykonania i chciałbym...

- To dobrze, że tak nie uważasz – Dominki kontynuował nie pozwalając mu dokończyć. - Chociaż może powinienś? Wracając do twoich przekonań, to na twoim miejscu nie pokładałbym zbyt dużej wiary w naszych wspaniałych krewniakach i ich najdoskonalszym dziele. – z rezygnacją stwierdził starszy mężczyzna. – Obawiam się, że dobro ludzi takich jak my, w ich hierarchii wartości znajduje się na ostatnim miejscu. Słyszałeś może o ostatnim dekreście senatu Oświeconych? Tym dotyczącym edukacji nanopatów? – widząc, że Rupert pokręcił głową, ciągnął dalej – No tak, nie jesteś nosicielem Genu, więc ciebie to ani nie dotyczy i ani nie obchodzi...

- Nie rozumiem panie Borgia...

- Oczywiście, że nie rozumiesz. – ponownie przerwał mu przełożony. – Nie należysz przecież do grona szczęśliwców obdarzonych cudownym Genem... Widzisz ja mam tą przyjemność, co prawda u mnie jest on uspiiony i nic nie wskazuje na to, że rozwinę zdolności nanopatyczne. Jednak z punktu widzenia Oświeconych nadal pozostają cennym

źródłem materiału genetycznego. Widzisz, wczoraj urodził się mój syn...

- Słyszałem, gratuluje panie Borgia. – Dominik przyjął te słowa skinieniem głowy i ciągnął dalej. – Moje pierwsze dziecko, a zarazem ostatnie, które dane mi będzie wychowywać. Z zaufanego źródła wiem, że senat uznał za najlepszy sposób na zagwarantowanie nam właściwej pozycji w, jak to ująłeś, nowym układzie sił będzie zmaksymalizowanie ilości narodzin dzieci obdarzonych Genem oraz ich kształcenie na nanopatów już od najmłodszych lat. Otóż, zostanie utworzony bank genów, który zasilać będą jego wszyscy mężczy nosiciele. Obdarzone nim kobiety zostaną sprowadzone do roli inkubatorów, mających za zadanie rodzenie dzieci mających największą szansę na jego odziedziczenie. Dzieci będą wychowywane pod kątem maksymalnego rozwinięcia ich nanopatycznego potencjału – praktycznie bez kontaktu z biologicznymi rodzicami. Dzięki dekretowi Oświeconych, za dwadzieścia lat Vespa będzie dysponować pierwszym rzutem ślepo posłusznych i oddanych nanopatów... Wierz mi nie jest to system, w jakim chciałbym wychowywać mojego syna. Nie będę cię wprowadzał w szczegóły, przeczytaj sam, może otworzy ci to trochę oczy.

- Tak zrobię, panie Borgia, ale teraz, jeżeli pan pozwoli, zajmę się negocjacjami z JMC. Bardzo dziękuję za pouczającą rozmowę. – Rupert najwyraźniej chciał mieć tę niewygodą dyskusję za sobą.

- Dobrze, idź już, daj mi znać, co udało ci się wynegocjować, mam nadzieję, że faktycznie czegoś się nauczyłeś.

## *Rubież*

Młodszy inżynier z ulgą wycofał się do drzwi, uklonił się i wyszedł. Dominik jeszcze przez chwilę siedział przy pulpicie, po czym wlał do szklanki resztkę alkoholu i podszedł do bulaju. Wizja przyszłości kreowanej przez Oświeconych przygnębiała go coraz bardziej. Co prawda, jego pozycja w Vespie była na tyle wysoka, by mógł zagwarantować swojemu synowi w miarę normalne dzieciństwo, nie chciał jednak by w przyszłości stał się on narzędziem w ich rękach. Ponownie, tęsknym wzrokiem spojrzął na pustą już butelkę.

- Przy okazji trzeba będzie poprosić Pana Chang o kolejną – rzucił w przestrzeń.

I.

### *Gniazdo*

*System Kuźni, Rubież, AD2936*

1.

W odrętwienie nieświadomości Królowej powoli zaczynały wbijać się nowe bodźce. Z początku subtelne doznania, z każdą minutą nabierały intensywności, Królowa stawała się coraz bardziej świadoma i czujna. Jej zmysły powoli smakowały otoczenie, niczym niewidzialne macki obejmując całą kolonię i przestrzeń wokół niej. Wyczuła swoje dzieci, zarówno te uśpione wraz z nią, jak i te, które podczas letargi czuwały nad ich bezpieczeństwem. Z matczyną troską dotknęła każdego z nich, informując je równocześnie o swoim przebudzeniu. Kolejna falą wrażeń napłynęła o wiele bardziej stanowczo. Już wiedziała, co ją obudziło i co musi zrobić. Uczucie rodzące się wewnątrz jej

pradawnego ciała, było zarazem uczuciem wszystkich jej dzieci. Z każdą chwilą nabierało ono intensywności i ostrości.... Łaknienie stało się jeszcze większe, gdy wyczuła w pobliżu wystarczającą ilość pożywienia dla przetrwania przez nią i jej dzieci kolejnego cyklu. Jej dotyk stał się bardziej intensywny - kolonia zaczynała się budzić i już wkrótce miała nasycić swój głód.

\*

Być może przemieszczanie przez cały dzień bogatych w rudy asteroid na wcześniej ustaloną pozycję nie było najbardziej wyczerpującym zajęciem, ale po kolejnym dniu takiej pracy Maxim miał już dość. Nie tyle ze zmęczenia, co raczej z nudy towarzyszącej temu zajęciu. Wszystkie asteroidy przeznaczone do przerobu, zostały już oznaczone wcześniej. Teraz do niego i kilkudziesięciu innych pilotów skarabeuszy należało ustawienie ich na Polu. Skała po skałe, każda niemal identyczna...

I tak do zesrania... Nawet zezowaty dron mógłby to zrobić... - Myślał Maxim, kończąc umieszczanie ostatniej skały koło pozostałych, dziesiątek podobnych jej skał.

Pozostali piloci również kończyli swoją zmianę i powoli kierowali się w stronę kontenerowca, który miał ich zabrać z powrotem do „Tytana”. Dwa skarabeusze jednak niebezpiecznie zbliżyły się do powierzchni Gniazda, przeczesując szperaczami jego zacienioną, porytą kraterami skorupę. Wszystko wskazywało na to, że ich piloci mieli nadzieję na ostatni, dodatkowy zarobek przed Żniwami. Najwyraźniej jednak, albo nie znaleźli na powierzchni księżycy niczego,

co warte byłoby ryzyka, albo zwyczajnie kończyła im się energia potrzebna do zanurkowania, gdyż po chwili zawrócili. Maxim uważnie śledził ich lot nad powierzchnią Gniazda, po czym sam sprawdził pozostały mu zapas energii. Dwaj koledzy trochę mu jej oszczędzili. W świetle ich szperaczy dostrzegł kilka obiecujących refleksów. Kontrolka stanu baterii wskazywała już co prawda rezerwę, ale przy oszczędny locie powinno to wystarczyć na dwa nurkowania. Potem będzie musiał już tylko odbić się tak, by wyjść ze strefy cienia, złapać trochę energii słonecznej i dowlec się ze spokojem do kontenerowca. Plan krystalizujący się w głowie Maxima wywołał uśmiech na jego twarzy. Perspektywa zarobienia kilku dodatkowych uncji sprawiła, że ten dzień mógł jednak okazać się nie do końca zmarnowany. Należało tylko sprawdzić jeszcze jedną istotną kwestię. Nie tracąc czasu, pilot wystukał na konsoli komunikatora właściwy kod wywoławczy.

- Vinnie jesteś? – rzucił w przestrzeń, jednocześnie obniżając coraz bardziej tor lotu. - Hej kolego, odezwij się.

- Co znowu? - Udawane zniecierpliwienie przyjaciela było elementem stałego rytuału.

- Vince, przyjacielu, jak ci mija ten piękny, mroźny dzień?

- Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jestem trochę zajęty. – Tradycyjnie gderał Vincent. – Do rzeczy. Czego znowu chcesz? Myślałem, że masz coś do roboty.

- Ja właśnie w tej sprawie. Powiedz mi, kumplu, czy zacząłeś już budzić naszą śpiącą piękność?

## *Rubież*

- Tak jakby. Jestem właśnie w trakcie, dostała już pierwsze dwie porcje głodu i zaczyna się wiercić, czemu pytasz?

- Czyli mamy jeszcze parę godzin zanim robotnice dostaną zajoba?

- Ty chyba do reszty zgłupiałeś?! – Udawany, lekki ton ustąpił miejsca prawdziwemu zaniepokojeniu. – Tak, robotnice ruszą dopiero za parę godzin, ale żołnierze już chodzą podnieceni po całej ciemnej stronie. Jeżeli myślisz o tym, o czym ja, to zapomnij. Nie pomogę ci w popełnieniu samobójstwa.

- Vinnie, stary, tylko dwa nurkowania, obiecuję, najwyżej pół godziny...

- Nie ma mowy, kompletnie oszalałeś, wyłączam się, nie przeszkadzaj mi już!

- Odpalę ci dwadzieścia procent! – Maxim postanowił zagrać ostatnią kartę. Przeciągająca się cisza po drugiej stronie oznaczała, że Vincent albo się już rozłączył, albo złapał przynętę.

- Czterdzieści procent i tylko jedno nurkowanie, nie mam tyle czasu. – Najwyraźniej przyjaciel połknął haczyk.

- Dwadzieścia pięć? Daj spokój, chłopie, to ja ryzykuję swoje dupsko, podczas gdy ty siedzisz sobie wygodnie w cieple i wpieprzasz ciastka!

- Trzydzieści pięć, zastanów się, ile energii kosztowała cię już ta rozmowa...

- Trzydzieści, wiesz, że muszę opłacić licencję, nie targuj się z mną jak jakiś pieprzony dron!

- Ok, umowa stoi! – Max mógłby przysiąc, że usłyszał stłumiony śmiech kumpla. – Ale jak nic nie wyłowisz, to sam zgłosisz się do pomocy przy rozładowywaniu żarcia w chłodni. Na pełną zmianę.

- Nie ma sprawy, zapewniam cię jednak, że żadnemu dronowi nie zabiorę zajęcia. Za dwie minuty będę na pozycji, możesz zacząć skanowanie powierzchni.

- Wiem co mam robić, śledzę już twoje namiary. Postaraj się przez chwilę mi nie przeszkadzać, muszę przecież skończyć to ciastko.

W trakcie trwania tej rozmowy Maxim zdążył sprawdzić wszystkie systemy i jeszcze raz przekalkulować potencjalne zużycie energii. Pomimo nerwowego pulsowania kontrolki stanu baterii, skierował swojego skarabeusza nad miejsce, w którym wcześniej dostrzegł metaliczne refleksy.

Z tak małej odległości powierzchnia Gniazda wyglądała na absolutnie pozbawioną życia. Szara, usiana kraterami i wąwozami skorupa kryła jednak w sobie płataninę korytarzy zamieszkałych przez Królową i jej dzieci. Okrągła kabina skarabeusza dawała szerokie pole widzenia, mimo to oprócz ponurego krajobrazu Maxim nie odnotował obecności żołnierzy. Nie był na tyle naiwny by wierzyć, że nie ma ich w pobliżu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili, z któregoś z niewidocznych wyjść może wychynąć złomiarz. Kolejny raz zlustrował okolicę i ponownie wywołał przyjaciela.

- No dobra, otrzyj okruszki z gęby i bierz się do roboty. Jak wygląda okolica?

- Czysto, dwóch żołnierzy sześćset metrów na północ od ciebie, następna trójka w tunelach pod tobą, na razie po-



staram się utrzymać ich pod powierzchnią. Rób co masz do zrobienia i zabieraj się stamtąd.

- Dobrze tato. – Wymiana zdań, z pozoru lekka i żartobliwa, nie przeszkadzała Maximowi w skoncentrowaniu się na dokładnym wyliczeniu trajektorii nurkowania. Pilot w napięciu obserwował dobrze już widoczne perły. Trzy lśniąco sfery spoczywały w niedalekim kraterze, podczas gdy kolejne dwie czekały niecałe sto pięćdziesiąt metrów dalej. Max chciał je złapać za jednym podejściem. Teoretycznie było to wykonalne, ale musiał mieć na uwadze zużycie energii konieczne do tego typu manewrów.

- Schodzę. – oznajmił już całkowicie poważnie.

- Roger. - Wesoły nastrój obu mężczyzn ulotnił się w mgnieniu oka. Oboje byli teraz maksymalnie skupieni na swoich zadaniach.

Skarabeusze, jednoosobowe jednostki zaprojektowane do próżniowych prac inżynierskich, po katastrofie „Tytana” stanowiły trzon floty JMC. Co prawda posiadały bardzo ograniczone osiągi i możliwości, jednak to one gwarantowały korporacji stały dopływ tak cennych w tych czasach surowców. Oprócz codziennych prac polegających na wyszukiwaniu i oznaczaniu złatnych do przerobienia skał oraz późniejszego ich przemieszczania na Pole, każdy pilot zobowiązany był uczestniczyć w Żniwach. To właśnie wtedy odławiano większość pereł. Nie powstrzymywało to jednak narwańców pokroju Maxima od ryzykowanych prób łowienia ich poza tym względnie bezpiecznym okresem. Jedynym, co odróżniało Maxima od pozostałych poławiaczy, była jego przyjaźń z Vincentem Petersenem, etatowym nanopatą zatrudnionym przez JMC. Maxim ufał przyjacielowi bezgra-

nicznie, dlatego był gotów ponownie podjąć ryzyko i zmierzyć się swoją „sześciorką bańką” z żołnierzami złomiarzy.

Kiedy był już gotowy, zdecydowanym ruchem skierował swój pojazd pionowo w kierunku powierzchni księżycyca.

- Nadal czysto. – Głos w komunikatorze był jedynym, na co czekał Maxim. - Skarabeusz runął w dół, błyskawicznie pokonując dzielące go od zdobyczy metry. W miarę jak powierzchnia księżycyca stawała się coraz bliższa, pilot zaczął stopniowo łagodzić trajektorię lotu, tak by ostatecznie wyhamować i zawisnąć idealnie ponad perlami. Spektrometr zazwyczaj potrzebował parudziesięciu sekund na odczyt, dlatego Max zrezygnował ze sprawdzenia ich składu. Dwa z sześciu manipulatorów skarabeusza bezbłędnie pochwyciło pierwsze dwie i umieściło je w znajdującym się za kabiną koszu.

- Jak to wygląda teraz? – Zapytał, chwytając ostatnią metaliczną kulę.

- Powierzchnia bez zmian, ale na twoim miejscu bym się pospieszył. Do trójki pod tobą dołączyło jeszcze dwóch, sytuacja powoli zaczyna wymykać mi się spod kontroli.

- Zaraz wychodzę, jeszcze tylko chwilkę. – Pozostałe dwie perły były zbyt blisko żeby je zignorować. Kolejnym zrywem silników, pilot posłał swój pojazd w ich kierunku, niemal ocierając się o sterczące z podłoża skały.

- Mówiłem ci żebyś wracał! – Vincent był już na serio zdenerwowany. – Ładujesz się prosto na kolejnego!

- Spokojnie, postaraj się ich jeszcze jakoś przytrzymać, poradzę sobie! – Max zdążył jeszcze rzucić do komunikatora przed jego wyłączeniem. Wystarczyło mu już, że

kontrolka stanu baterii zaczęła pulsować coraz nachalniej, nie chciał żeby dodatkowo rozpraszały go histeryczne komentarze przyjaciela.

Kolejne metry uciekały błyskawicznie. Mała kabina skarabeusza stała się nieznośnie ciasna i duszna. Skupiony do granic możliwości szykował się do przechwycenia i odejścia – najważniejszego manewru połowu. Nagle, bezpośrednio obok upragnionej zdobyczy wyrósł złowieszczy kształt. Z początku Maxim nie zauważył czterech macek, które wychynęły z jednego z pobliskich kraterów. Dopiero, kiedy dostrzegł podążający za nimi masywny, lśniący łeb żołnierza, zdał sobie sprawę z zagrożenia. Wielkie oczy owada patrzyły wprost w jego kierunku. Instynktownie dał całą wstecz, uruchamiając jednocześnie szperacz zamontowany na jednym z ramion skarabeusza. Złomiarz najwyraźniej był w jakimś stopniu oszołomiony przez Vincenta, ponieważ zamiast pochwycić i zgnieść pojazd swoimi potężnymi, uzbrojonymi w kościane haki mackami, wpatrywał się w niego z, gdyby tylko było to możliwe u trzy metrowej mrówki, tęnym wyrazem pyska. Smgnięcie po oczach wiązką jaskrawego światła wystarczyło, by owad rozpaczliwie rzucił się powrotem do krateru. Pilot wykorzystał ten moment by pochwycić ostatnie dwie perły, zmienić ustawienie silników manewrowych i dać całą naprzód pod ustalonym wcześniej kątem. Desperackie użycie szperaczy najwyraźniej kosztowało zbyt dużo energii, gdyż po paru sekundach, zasilanie skarabeusza ostatecznie padło. Na szczęście dla Maxima, odbicie było idealne i niesiony siłą inercji pojazd z każdą sekundą zbliżał się do wyjścia ze strefy cienia, podążając w kierunku upragnionego światła. Jedyne, co Max musiał teraz zrobić to uspokoić oddech, by zbyt szybko nie wyczerpać pozostałego

w kabinie zapasu powietrza. Pilot pozwolił sobie wreszcie na triumfalny uśmiech, wiedząc, że kolejny raz mu się udało.

Po piętnastu minutach, skarabeusz wychynął zza Gniazda prosto na przestrzeń oświetloną promieniami błękitnej gwiazdy Kuźni. Rozmieszczone na kadłubie skarabeusza kolektory słoneczne zaczęły przetwarzać energię potrzebną do wskrzeszenia kluczowych systemów pojazdu. Max z początku chciał połączyć się z Vincentem, ale po chwili namysłu doszedł do wniosku, że lepiej będzie potrzymać przyjaciela jeszcze chwilę w niepewności. Zamiast tego postanowił wreszcie przyjrzeć się zdobytemu z narażeniem życia łupowi. W tym właśnie celu, oprócz dwóch chwytnych manipulatorów oraz szperacza, pozostałe trzy ramiona skarabeusza wyposażone były w kamerę, spektrometr oraz wielozadaniową końcówkę narzędziową. Pilot już po czterdziestu sekundach otrzymał dość rozczarowujące odczyty składu pierwszych dwóch pereł. Zawarte w nich pierwiastki były dość powszechne i w związku z tym nie wyceniano ich zbyt wysoko. Natomiast kolejna, czterdziestocentymetrowej średnicy kula okazała się składać z uroborytu – najbardziej poszukiwanego metalu w Rubieży. Informacja ta jeszcze bardziej poprawiła, już i tak dobry nastrój Maxima. Za samą tę perłę mógł dostać kilkadziesiąt uncji prowizji. Ostatnie dwie mniejsze, zawierały niemalże równie cenny ferenix. Całość łupu Maxim oszacował na sto pięćdziesiąt do dwustu uncji – suma, nawet po umniejszeniu o stawkę Vincenta, wystarczająco duża by odnowić licencję oraz przeżyć na przyzwoitym poziomie chude dni oczekiwania na Żniwa. Po zakończeniu pomiarów, Max wytrawił na każdej z pereł swój kod identyfikacyjny, który miał później

pozwoić zlokalizować jego zdobycz pośród ton innych surowców zrzuconych do ładowni kontenerowca.

Zadowolony z siebie pilot jeszcze przez chwilę obserwował doskonale widoczną z jego pozycji panoramę Kuźni. Na tle bieli planety wyraźnie odznaczała się olbrzymia sylwetka „Tytana”, stercząca z lodowatej równiny niczym czarny kiel. Rozbity prawie ćwierć wieku wcześniej, gigantyczny statek był jednym z dwóch osiedli ludzkich na planecie. Drugie ukryte było pod ciężkimi śniegowymi chmurami kilkaset kilometrów dalej na południe. Podczas gdy „Tytan” stanowił stolicę planety, wiecznie zaśnieżony Kocioł stanowił zagłębienie przemysłowe JMC.

Z daleka Maxi dostrzegł sylwetkę opuszczającego orbitę kontenerowca, co trochę ostudziło jego samouwielbienie. Oznaczało to, że na kolejny kurs na „Tytana” będzie musiał poczekać aż do końca następnej zmiany. To również przypomniało mu o czekającym na jakiegokolwiek wieści przyjacielu, dlatego ponownie uruchomił komunikator i wywołał Vincenta.

- No kolego, jesteśmy bogaci! Hej jesteś tam? Dzięki za krycie mojej dupy.

- Jesteś idiotą Sidorov, wiesz o tym? – Po głosie Vincenta dało się poznać, że targające nim emocje zdążyły się wypalić podczas długotrwałego oczekiwania na sygnał od przyjaciela.

- Ale za to bogatym idiotą! Nie martw się, dotrzymam umowy, dostaniesz swoje dwadzieścia pięć procent.

- Trzydzieści. – Vincent nie dał się nabrać. – Jeżeli faktycznie jest tak jak mówisz, to może rzeczywiście nie najgorzej na tym wyjdę. Mam oczywiście na myśli moją

działkę i bonus. Niestety nie zżarli cię złomiarze, więc nadal będę musiał się z tobą użerać.

- Hehe, niedoczekanie twoje. Już nie narzekaj, pomyślałby kto, że na naszej znajomości źle wychodzisz. Czekaj, jaki bonus? Na nic więcej się nie umawialiśmy!

- No proszę! Najwyraźniej muszę ci przypomnieć, że miałeś się dzisiaj spotkać z Kasyą – Z triumfem w głosie wypalił Vincent. – Z radością poinformuję ją, że nie dasz dzisiaj rady. Obiecuję dotrzymać jej towarzystwa i zadbać o jej rozrywkę w twoim imieniu.

Maximowi zrzęda mina. Faktycznie, zapomniał. A co gorsza, wszystko wskazywało na to, że w najlepszym wypadku w „Tytanie” będzie za dziewięć godzin. Zgrzytając zębami, poczekał aż ucichnie radosny rechot przyjaciela i rzucił:

- Jednak jesteś cholernym dronem!

- Ale dzięki tobie bogatym i szczęśliwym dronem, a ty nadal tylko bogatym idiotą. Będę leciał, obiecuję pozdrowić od ciebie pannę Steinwald. Miłego opalania, do zobaczenia jutro.

Kliknięcie w słuchawce oznajmiło zakończenie transmisji. Nie powstrzymało to jednak Maxa przed rzuconiem w eter długiej, niezbyt wyszukanej wiązanki przekleństw.

Już mniej zadowolony z siebie, Maxim Sidorov skierował skarabeusza w stronę punktu zbornego, pozostawiając za swoimi plecami księżyc i budzącą się w jego wnętrzu kolonię.